

## Na Maderę 2020

Tej zimy znikły bezpośrednie połączenia z Polski na Gran Canarię więc trzeba było szukać jakichś kombinowanych połączeń. My z Mirkiem wybraliśmy lot z Modlina przez Stansted na Gran Canarę, niestety, z długim, nocnym oczekiwaniem na podlondyńskim lotnisku. Okazało się, że skoro w nocy samoloty na Stansted nie latają większa część dworca jest zamknięta i oczekujący pasażerowie koczują na podłodze tej nie zamkniętej części portu. Wypatrzyliśmy z Mirkiem taką enklawę gdzie były wolne siedzenia. Było to miejsce dla osób potrzebujących opieki z którego obsługa zdecydowanie wypraszała pretendenta. Widać jednak nasze siwe głowy robiły wrażenie więc przyjęli za dobrą monetę wyjaśnienie, że czekamy na naszych opiekunów. Opiekunowie zjawiają się po północy wraz z samolotem z Wrocławia i zostają przez czujną obsługę zaakceptowani.

Rankiem odlatujemy do Las Palmas na Gran Canarii, stopniowo kożuch chmur znika a na horyzoncie pojawiają się zarysy Lanzarotte i Fuertawentury. Widać wiatry nam sprzyjały, bo lądujemy pół godziny przed czasem. Zapobiegliwi „opiekunowie” szybko znajdują busik, który zawozi nas do mariny Pasito Blanco. Jacek, który przyleciał poprzedniego dnia, wprowadza nas do oczekującej nas Very. Taki sam Dufor 460 jak w poprzednim roku tylko chyba o rok starszy. Krótka procedura przejścia jachtu wraz z dodatkowymi opłatami za pościel i sprzętanie oraz kaucji. Dodatkowe zakupy w lokalnym sklepiku, krewetki z czosnkiem i wino w portowej knajpcie i można wreszcie odespać przygody z Stansted. W międzyczasie docierają Lidia i Olek, każde inną drogą.

Odsypianie trochę trwało więc z portu udaje się nam wyjść dopiero o 1125. Prognozy są umiarkowanie przyjazne. Tu na dole wieje ca 12 kn z NE, dalej stopniowo się wypełniający by bliżej Madery zaniknąć w centrum wyżu. Po wschodniej stronie wyspy przyjdzie nam pracować halsować, po zachodniej wejdziemy w cień i trzeba będzie wiele godzin piłować na motorku. Wybieramy wariant wschodni. Półgodzinne halsy weryfikują mój pogląd na przydatność samohalsującego foka na Atlantyku. Postępy są, niestety niezadowalające. Ostatecznie Mateusz, pełniący rolę mojego co-skipera, decyduje się podciągnąć się na motorku tak daleko na NE by kolejny prawy hals pozwolił bezpiecznie ominąć północny przylądek. Dalej już bułka z masłem. Wiatr rzeczywiście odchodzi ku wschodowi słabnąc jednocześnie ale lekka łódka właśnie do takiej pogody jest stworzona. Ostatecznie po trzech dniach żegluga, w środę 29 stycznia o 0940 cumujemy w Funchal na Maderze.

W czwartek wynajmujemy samochody i ruszamy na eksplorację wyspy. Szczyty sięgają tu 1600 m n.p.m. ale robi to wrażenie, bo przecież z takiego poziomu je widzimy. Wulkaniczne skały są miękkie więc przecinają je głębokie i strome wąwozy a wilgotny, choć raczej bezdeszczowy klimat powoduje, że zbocza porośnięte są gęstą, wiecznie zieloną roślinnością. Głównym źródłem wody na wyspie jest rosa. Rano nasze bimini jest obciążone kilkilitrową ilością wody.

O 1500 w piątek opuszczamy Funchal i ominąwszy jezor południowo-wschodniego przylądka ruszamy w stronę Porto Santo. Pomysł przenocowania na kotwicy w cieniu tego przylądka ostatecznie odrzucamy. Bliskość skał wydaje się przerażająca a wiatr za tą skalną ścianą wyczynia nieprzewidywalne fikołki. Bez pośpiechu, na samym fokku posuwamy się całą noc by rankiem 1 lutego zacamować w Porto Santo. Jedyńą osobą, która się nami interesuje jest lokalny policjant u którego musimy się zameldować z paszportami i dokumentami jachtu. Obsługa mariny jest w weekend nieobecna i nie ma komu uiścić opłaty portowej. Na szczęście spotykamy tu polski jacht, którego załoga szczerze dzieli się z nami kartą do toalet.

W przeciwieństwie do Madery wyspa jest sucharem a pobliskie miasteczko o tej porze roku świeci pustkami. Obiad w jedynej czynnej restauracji w której jesteśmy serdecznie witani gośćmi. W centrum mieści się muzeum Krzysztofa Kolumba w skromnym domku, w którym umarł w biedzie. Wzdłuż brzegu ciągnie się niekończąca się plaża.

W niedzielę o 1240 zegnamy gościnną marinę i przy lekkim południowo-wschodnim wietrze kierujemy się w drogę powrotną. Nie udaje się nam jednym halsiem ominąć długiej kosi wysp z Ilha Deserta Grande ale zamiast przy słabym wietrze halsować, zwijamy fok i na „dizelgrocie”

suniemy prosto na południe aż do minięcia Ponta de Agulhia na którym jednak oznaczona na mojej mapie latarnia nie świeci. Wracamy do żeglarstwa. Wiatr słabnie i o 0150 w poniedziałek trzeba się przeprosić z motorkiem. Rano wraca wiatr z SSE. Zgodnie z prognozą, powyżej kanarów czeka nas żwawy przeciąg. Pod wieczór rolujemy grot do połowy. Rano we wtorek wiatr rośnie do 20 – 27 kn. Fala rośnie a lekka łódka zachowuje się zupełnie niepoważnie. Skacze z hukiem po falach i wydaje dźwięki sugerujące jej bliskie zniszczenie. Nie daję się na to nabrać ale koło 1300 sprzątamy ostatecznie grot a i fok conieco rolujemy by jej ulżyć. Wiatromierz pokazuje chwilami 35 kn. Nad morzem mgiełka która nie pozwala zobaczyć świateł Teneryfy. To znaczy, wszyscy, zachęcani obiecana nagrodą widza w oczekiwanym kierunku mnóstwo przeróżnych świateł tylko ja mam widocznie już słaby wzrok. Wiatr powoli słabnie a my wchodzimy w cień Teneryfy gdzie fala się uspokaja a i wiatru nie wystarcza do żeglugi. Znowu motorek. Wreszcie w środę o 0930 cumujemy w Marina del Sur w Las Galletas na pd krańcu Teneryfy.

Las Galletas jest miłym urlopowym miastem pełnym sklepów, kafejek i restauracji. Moim trofeum jet zakupiona w sklepie z zabawkami „kapitańska” czapka zastępująca moją mocno już wystrzępioną. O 1750 w czwartek opuszczamy Marina del Sur i ruszamy w stronę Pasito Blanco. W piątek, o 0130 wchodzimy w cień Gran Canarii zatem znów trzeba przeprosić się z motorkiem. Ostatecznie o 0530 cumujemy przy stacji paliwowej w Pasito Blanco.

W piątek żegnamy Jacka, który ma na ten dzień zabukowany samolot. Rozliczamy się z jachtem. Na 0750 w sobotę mamy zamówiony bus na lotnisko. Samoloty o różnej porze. Ja, niestety, dopiero o 2000 zatem wkrótce zostaję sam na lotnisku. Dopiero po 1700 mogę nadać bagaż i przenieść się do tej „bezpiecznej” strefy w której jest gdzie usiąść. Przesiadkę mam w Madrycie. Tu warunki podobne do Stansted. Do rana pozostaje wyciągnąć się na posadzce. Co bardziej doświadczeni stosują tu karimaty. Rano skromne śniadanie i samolot do Modlina. Na szczęście te nowsze 737-800 zostawiają więcej miejsca na nogi dla pasażerów. Dalej już lajczik. Trzeba się tylko przestawić z kanaryjskiej na ojczysta pogodę.